NUMER 45. DNIA 18. LISTOPADA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

CORPUS IURIS POLONICI.*)

W czasach, gdy książka lotną jest jak motyl i... ginie jak motyl po jednodniowem życiu, w czasach pospiesznych druków, maszyn rotacyjnych, zakrojono wydawnictwo, na którego całość życia nie starczy jednostce, a nawet przy znaczniejszej ilości wydawców, może jeszcze jedno pokolenie nie będzie oglądało końca. Całość wydawnictwa „Corpus iuris polonici“ to jest wszystkich pomników ustawodawstwa naszego w znaczeniu szerszem, a więc nietylko konstytucji sejmów polskich, ale także rozporządzeń królewskich od początku do końca Rzeczypospolitej i w odniesieniu do wszystkich terytorjów, które zostawały pod panowaniem władców polskich — taka całość „Ksiąg prawa polskiego“ obejmie czterdzieści tomów!

Policzmy. Nad zebraniem materjałów do pierwszego tomu, który dopiero co opuścił prasy drukarskie, pracował prof. Oswald Balzer od r. 1899 do 1902, a zatem trzy lata, po dwuletniem opracowaniu materjału rozpoczął się z końcem r. 1903 druk razem ze żmudną, kilkakrotną korektą i trwał do końca roku bieżącego a więc znowu bez mała trzy lata, czyli razem wydawnictwo pierwszego tomu, obejmującego okres szesnastoletni, kosztowało prof. Balzera ośm lat czasu. Na czterdzieści tomów potrzeba by tedy 320 lat, i to czasu, tak jak go użyć potrafi tej miary uczony, taki niedościgły znawca, a takiej przytem gigantycznej pracowitości jak prof. Balzer!

Chciało by się doprawdy, aby dokoła tego pierwszego olbrzymiego foliantu zapanowała dostojna cisza, powaga i aby jej nie mącił nawet skrzyp pióra sprawozdawcy. A w tej ciszy niechaj stanie przed oczyma zamiar trzystu lat pracy i tej pracy pierwszy imponujący rezultat. Niechaj się uniesie olbrzymi labirynt przywilejów, statutów, konstytucji, edyktów, dekretów, mandatów, który za czasów Rzeczypospolitej mało kto znał, a który był „ucieczką prawujących się w sądzie, tarczą polityków sejmujących i sejmikujących“ — niechaj ten „przywilej pospolity przesławnego Królestwa polskiego“ rozgwarzy się życiem tylu wieków, prawem i bezprawiem, sprawiedliwością i pieniactwem całej Rzeczypospolitej jej stanów, sejmów, królów, władz — to wtedy by dopiero zrozumieć można, co jest „Corpus iuris Polonici“ i co jest zamiar jego naukowego i krytycznego wydawnictwa.

Zamiar ten powstał na drugim zjeździe historyków polskich w r. 1890. Dotychczasowe bowiem zbiory ustaw polskich, a więc wydany przed czterystu laty kodeks Łaskiego i z przed dwustu lat „Volumina legum“ były niedokładne i niezupełne. Łaski pominął cały szereg średniowiecznych ustaw przejściowego znaczenia i wszystkie rozporządzenia królewskie, „Volumina legum“ uwzględniły tylko ustawodawstwo sejmowe. Potrzeba więc było koniecznie dla nauki polskiej nowego wydania, z ogłoszeniem poprawnych tekstów, z uzupełnieniem mnogich zabytków prawa, dotąd nieznanych. Komisja prawnicza Akademji umiejętności podjęła zamiar i opracowała plan. Według tego planu całość wydawnictwa dzielić się będzie na dwa działy: dział ustaw koronnych i dział ustaw litewskich. W dziale koronnym dwa pierwsze tomy poświęcone zostały zabytkom średniowiecznym, które opracowuje prof. Ulanowski, okres nowszy zaś od r. 1506 do r. 1632 powierzono prof. Balzerowi. Ogrom materjału jednak, zebranego w 59 dostępnych bibljotekach i archiwach na ziemiach polskich, zmusił prof. Balzera do ograniczenia się na razie do okresu panowania Zygmunta I (1506 — 1548), który to okres i tak obejmie trzy olbrzymie tomy. Tom pierwszy

*) Księgi prawa polskiego. Dział pierwszy: przywileje, statuty, konstytucje, edykty, dekrety, mandaty koronne. — Księga trzecia 1506 — 1522 wydał i przypisami objaśnił Oswald Balzer. Kraków. Nakład Akademii umiejętności, LXII str. 796.

(względnie ogólnego wydawnictwa trzeci) wyszedł właśnie i obejmuje zabytki prawne od r. 1506-1522.

Mimo tak szczupłego okresu czasu, nagromadziło się w tym tomie 274 aktów, nieraz całych kodeksów, zgrupowanych w porządku chronologicznym i zaopatrzonych w wyczerpujące uwagi naukowe i krytyczne. Autor rzeczywiście nie szczędził trudów, zabiegów i zachodów, to też tom ten pierwszy zostanie chyba wzorem dla całego wydawnictwa, a równocześnie wzorem w ogóle opracowań naukowych. Wszystkie właściwości naukowe prof. Balzera, metoda jego, ścisłość drobiazgowa, konsekwencja, olbrzymia wiedza prawnicza i niezrównane fachowe znawstwo prawa polskiego, wystąpiły tutaj na jaw w iście pomnikowych, popisowych niejako rozmiarach. Jeden pobieżny przykład najlepiej objaśni sposób redagowania wydawnictwa. Wydanego w niniejszym tomie kodeksu praw ormiańskich znajduje się około 30 rękopisów, rozrzuconych po najrozmaitszych archiwach i bibljotekach na całym obszarze ziem polskich. Profesor Balzer zebrał 26 rękopisów odnośnych, każdy z nich opisał jak najbardziej szczegółowo, nie pomijając nawet wyglądu zewnętrznego i historji jego posiadaczy, o reszcie rękopisów, których nie można było dostać, podał wyczerpującą wiadomość. Na tej podstawie przystąpił dopiero do porównania poszczególnych tekstów i ustalenia tekstu urzędowego. To też wątpić należy, czy w ogóle do kwestji, które tknął raz profesor Balzer, jakiś badacz późniejszy będzie choć jedno słowo mógł ująć albo dodać.

Również zaopatrzony jest tom ten w idealne indeksy, a mianowicie indeks nazw osób i miejscowości, oraz sporządzony na tej podstawie wykaz królów, dygnitarzy i innych urzędników Królestwa polskiego, i drugi indeks, rzeczowy, z osobnym spisem ważniejszych technicznych wyrazów polskich.

Zamykając pierwszą księgę prawa polskiego ma się to dziwne uczucie, że ostatniej już czytelnik dzisiejszych czasów nie obaczy, że to początek dzieła, którego koniec widzieć będzie dopiero może następne pokolenie. Więc nastrój uroczysty ogarnia mimowoli nawet, a w tym nastroju znikają gdzieś odległości wieków i jakoby jedna nić dziergała się między „Przywilejem pospolitym przesławnego Królestwa polskiego“ wydanym przed 400 laty przez Jana Łaskiego, między „Volumina legum“ z przed dwu wieków a tym oto zaczątkiem „Corpus iuris polonici“.

Wychodzi on właśnie w czterechsetną rocznicę wydawnictwa kodeksu Łaskiego. Profesor Balzer uważa tę okoliczność za dobrą wróżbę dla „Ksiąg prawa polskiego“ — oby nią była w najlepszem znaczeniu, a księgi te oby zostały na długie wieki krynicą wiedzy, a może i zrębem ustroju przyszłego... państwa polskiego.

Fr. Jaworski.



„Wymyssajery“ i ich stolica.

(Urywek ludoznawczy).

Wilamowiczanie, którzy w swojem narzeczu niemieckiem zowią się „Wymyssajer“ — co mówiąc w nawiasie wcale im nie przeszkadza być dobrymi Polakami — słyną w całej okolicy nie tylko ze swej pracowitości, oświaty i dobrobytu, lecz zarazem z historyjek, jakie o nich opowiadają sąsiedzi wokoło. Gdy mi przyszło w piękny dzień jesienny odbyć podróż pieszą kilkokilometrową, z Jawiszowic do Wilamowic i przechodniów pytałem o drogę, uśmiechali się ci a jeden z nich rzekł:

— To Pan idzie do przesławnego miasta Wilamowic, gdzie łowią księżyc w studni a u sowy szukają szyji.

Drugi opowiadał mi, jak Wilamowiczanie budowali swój kościół i ratusz.

— Było to przed bardzo dawnym czasem — mówił — kiej się Wilamowiczanom zawalił kościół drewniany a oni postanowili wymurować nowy. Zwożą ci kamienie na budowę, lecz zwózka idzie bardzo powoli, bo żaden z nich nie chciał konia swego tknąć batem. Czas naglił. Trzeba było przyspieszyć pracę. Więc rada w radę i uradzili, by pomieniać konie. „Bij ty mego konia — mówił jeden do drugiego — a ja będę bił twego, nikomu nie będzie żalu i krzywdy“. I było dobrze, aleć gdy kościół był już gotowy, spostrzegli, że stoi na miejscu niewłaściwem. Trzeba go przesunąć. Więc jęli sypać groch pod mury, by kościół snadniej przesunąć, kożuchem zaś na ziemi rozścielonym zaznaczyli granicę, do której go przesunąć należy. Męczą się i pocą nieboracy strasznie. Spostrzegają, że groch pod ich nogami posuwa się daleko wstecz. Idą zobaczyć, co z kożuchem rozścielonym z drugiej strony. Niema kożucha. Myślą sobie: kożuch pod murem, więc

kościół popchnęli, jak należy. Tymczasem kościół nieruszony z miejsca a kożuch skradł złodziej.

Z ratuszem było daleko gorzej.

O tem wieść niesie jak następuje: Budowali sobie ratusz. Wydatki strasznie rosły, postanowiono oszczędzać, więc zbudowali radnicę bez okien. Lecz gdy budowę skończono, panowała wewnątrz taka ciemnica, że rajcy obradować nie mogli. Wójt idzie po rozum i każe łowić światło słoneczne w wory, nieść je do wnętrza ratusza, by rozświecać ciemnie, ale to na nic się nie zdało. Drugi mądrala radzi oświecić radnicę księżycem, który widział w studni. Położono drąg na studni, uchwycił go najpierw wójt oburącz, poczem jeden chwytał się drugiego za nogi a ostatni rajca miał chwycić księżyc. Gdy tak zawiśli łańcuchem w studni, ciężar dla wójta był za wielki, więc by wytrzymać, chce sobie popluć w ręce, tymczasem wszyscy spadają do studni. Wydobyli się szczęśliwie stamtąd. Słyszą ci, że radnica w Oświęcimie ma okna i drzwi. Więc posyłają zaufanego człowieka po okna i dźwierze do Oświęcimia, nakazując mu, żeby przez drogę wciąż sobie powtarzał: „okna — dźwierze!“ — „dźwierze — okna!“, by nie zapomniał, po co go posłano. Wysłannik czyni wedle rozkazu, lecz w drodze potyka się w lesie o kamień i uderza głową o ziemię, tak, iż okna i dźwierze wylatują mu z niej. Szuka, znaleść nie może. Wie jednak, gdzie zgubił, więc jeśli zguby niema na powierzchni ziemi, musiała się w nią zapaść. Biegnie do domu po szpadel. Kopie i kopie — zguby niema, kopie więc dalej. Zciemnia się noc. Wtem nadchodzi jakiś człek, a widząc go ciężko pracującego, powiada:

„Czas doprawdy, byście zaniechali pracy. W borze nocą niebezpiecznie. Może was pożreć jakie dzikie z w i e r z ę“.

Jest zguba. Z w i e r z ę przypomina mu d ź w i e r z e, a okna same, jak z płatka, przychodzą na myśl. Mknie chyżo ku Oświęcimowi, by spełnić swe posłannictwo.

Słyszę jeszcze wiele innych cudactw o Wilamowiczanach, o: kocie-ludożercy, którego ścigają aż na szczycie wieży kościelnej, o sprowadzonym raku-krawcu, którego skazują na śmierć i topią, i wiele, wiele innych pocieszności, które trudno spisać na wołowej skórze.

Dziwna bardzo rzecz. Te wszystkie drwinkowania posiadają analogje na Pomorzu. W pomorskiem mieście Cakowie tak samo budowano ratusz, o Daszekowianach pomorskich opowiadają sąsiedzi te same przygody z rakiem-krawcem, a w pomorskiem mieście Wągoczynie miano podobne utrapienia przy budowie kościoła. Prawie do każdej dykteryjki o Wilamowiczanach można znaleść analogję na Pomorzu a także w Meklemburgu, co z pewnością nie jest rzeczą przypadkową, a w czem leży klucz do rozwiązania zagadki o pochodzeniu Wilamowiczan i ich sąsiadów, dotychczas nieodgadniętej.

Lecz to nie należy do rzeczy naszej, pozostawiamy je zatem na uboczu.

Docieram do Wilamowic. Cóż za oryginalna osada z swoimi starymi, stylowymi domami, o znamiennych ganeczkach, schowanymi w cieniu sadów. Główna ulica ciągnie się wężowo. Zalega ją cisza sielankowa, mimo, że dziś święto. Gdyby na tablicy nie znajdował się napis: „M i a s t e c z k o W i l a m o w i c e“ i t. d., ani przez myśl nie przeszłoby nikomu coś podobnego. Widać to dopiero w rynku, gdzie wyłącznie skupia się cała miejskość osady. Rynek przedstawia wielki podłużny czworobok, okolony przeważnie jednopiętrowemi kamienicami. Ratusz, szkoła, bardzo porządnie wyglądająca, krajowa szkoła tkacka, propinacja, posterunek żandarmski, poczta, apteka, sklep korzenny p. Nikla i jeszcze kilka domów prywatnych, między tymi jeden pstrokacizną bijący w oczy, w stylu secesyjnym, jednem słowem wszystko tu skupione.

Idę posilić się do sklepu korzennego, zawierając znajomość z jego właścicielem. Drzwi sklepowe wciąż w ruchu. Wchodzą przeważnie młodzi ludzie, poubierani po miejsku, kupują drobnostki lub delektują się „lampką“ wina. Rozmawiają wesoło między sobą swoją miejscową gwarą, której zrazu ani rusz zrozumieć. Zjawiają się także niewiasty w narodowych strojach z rogatymi czepcami na głowie i w krótkich, czerwonych, wielce odstających spodnicach.

Pan Nikiel daje mi objaśnienia:

— To już u nas taka mowa — mówi. — Czepce rogate, przykryte chusteczkami, noszą tylko mężatki, dziewczęta chodzą z odkrytą głową, splatając włosy w warkocz, spadający na plecy.

Pytam, jakim sposobem powstają rogi w w czepcach?

— To już tak szyte czepce — odpowiada. Taka nasza mężatka przywdziewa po 10 i 12 czepców na raz, a także po kilka spodnic, żeby piękniej odstawały. Im zamożniejsza, tem więcej czepców i spodnic na niej.

Dowiaduję się, że barwa biała oznacza u Wilamowiczan żałobę i że dawniej kobiety przy uroczystościach przywdziewały białe płachty, osłaniając się niemi. U mężczyzn strój narodowy prawie zupełnie zaginął, tylko jeszcze najstarsi noszą kamizole, z dwoma rzędami dużych guzików, długie, ciemne kapoty sukienne i czarne, filcowe kapelusze, z dużemi kresami. U niewiast przeważa barwa czerwona, u mężczyzn czarna.

Zawieram znajomość w winiarni, przylegającej do sklepu korzennego, z dwoma starszymi gospodarzami, panem Foxem i Dankiem. Pytają się mnie, jak mi się podoba ich miasteczko. Powiadam, że nadzwyczaj oryginalnie wygląda, jak odrębny światek.

— My też — mówi p. Fox — jesteśmy sobie odrębnym narodkiem, „*Wymyssajerami*“, i mamy nasz własny język.

Zapytuję się, jaki to język.

Odpowiada:

— „*Wymysörisz*“.

P. Danek zabiera głos:

— Mamy swój język dla siebie tylko, rozmawiamy nim wyłącznie tylko między sobą. Ogólnym językiem naszym jest jednak język polski, który jest naszym językiem urzędowym w gminie i językiem kościelnym, jako też częściowo językiem wykładowym w szkole. Czujemy się Polakami, każdy z nas dobrze włada językiem polskim.

— Jakimże sposobem — pytałem się dalej — zapisało się przy ostatniem liczeniu ludności w Wilamowicach 1145 osób jako Niemców.

P. Danek odparł:

— Mój Boże — to młodsza generacja zapewne. My starsi, prócz naszego języka, władamy tylko jeszcze polskim językiem, po niemiecku nie umiemy. Od czasu jednak, gdy bialski inspektor szkolny zaprowadził w naszej szkole częściowy wykład w języku niemieckim, młodzież nasza umie teraz po niemiecku. Do tego agitacja z Hałcnowa, Lipnika i Biały. Niech Bóg broni, co się teraz wszystko dzieje. Człowiek w końcu nie będzie sam wiedział, czem jest.

— Dawniej — podjął p. Fox — było całkiem inaczej. Szliśmy ściśle z krajem, czuliśmy się krajowcami i żyliśmy z wszystkimi sąsiadami w najlepszej zgodzie. U nas jeszcze Bogu dzięki po dawnemu, tylko młodzież zaczyna nam trochę krewić, ale w Hałcnowie i w Lipniku istne piekło.

Więc to zasługa — pomyślałem sobie — krajowego inspektora szkolnego Pelikana, że młodzież wilamowicka niemczy się — pod auspicjami krajowej rady szkolnej i „polskich“ rządów w Galicji!

Opowiadał mi dalej p. Danek, że jeden Danek wilamowicki, który się obecnie nazywa Danecki, jest prezesem sądu w Wadowicach, drugi Danek słuchaczem filozofji w Krakowie.

— Czy to krewni pańscy? — zapytałem się.

— Bóg to raczy wiedzieć — odparł — u nas Foxy i Dankowie tworzą prawie trzecią część ludności. Sporo też jest: Nikielów, Rosnerów, Biesów, Figwerów, Nowaków Haków, Bibów — z tych ostatnich — dodał — pochodzi arcybiskup lwowski dr. Bilczewski.

Po chwili ciągnął dalej:

— U nas tak, że gdyby Pan naprzykład pisał do mnie list, adresując: *Jaśki* Danek w Wilamowicach albo do pana Foxa tylko: *Moca* (Maciej) Fox, list nie doszedł by ani mnie ani jego, bo u nas jest Jaśków, Danków i Mocow Foksów kilkunastu!

Trzeba koniecznie dodać albo numer domu lub przezwisko.

— Jakie przezwisko?

— Nasze wilamowickie — *wymösserisch.* U nas każdy ma swoje imię, nazwisko i osobne przezwisko. Ja zowię się *Jaśki* Danek *Botelmąc*, mój przyjaciel: *Moca* Fox *Doficklgo;* inni mają przezwiska: *Paziamychał, Mietajarzajaśki, Kamerjaula, Kyjcuś, Prorok, Merla, Halafrana, Mietlik, Gembuk, Ficki, Niedziela i t. p.*

— Kto nadaje przezwiska?

— Biorą się same z siebie.

Z alkierza, przytykającego z drugiej strony do sklepu korzennego, który służy za rodzaj *chambre separé,* zalatują odgłosy pieśni ludowej w narzeczu miejscowem. Opuszczam towarzystwo i podchodzę aż pod same drzwi otwarte alkierza, by podchwycić jej wątek i zapisać do notatnika bodaj jedną zwrotkę.

Słowa brzmią dobitnie — mogę notować z dokładną fonetyką.

Oto: *An cwa drużkyn ana Braut;*
An cwe Hoetta grynes Kraut.
Makia wyłst an Frajmon hon?
Gey y kraczem konst a hon.

Co znaczy po polsku: Dwie drużki i panna młoda, i dwie głowy kapusty zielonej. Chcesz dziewczyno mieć umizgacza? Idź do karczmy, możesz go dostać.

Tłumaczenie polskie zawdzięczam p. *Mocowi* Fox *Dofickigo.*

Pytam się, czy w Hałcnowie narodowo niemieckim mówią tem samem narzeczem, jak w Wilamowicach.

— Jest różnica — odpowiada p. *Jaśki* Danek *Botełmąc* — oni np. śpiewają tak:

„*Wołt schon assa, hot ny wyjt,*
Hot n'en Łofet ohna'n Styjt“.

Co znaczy: Chcecie już jeść, niema wiele, ma łyżkę bez rękojeści.

Potem dodał:

Poprawniej od nas niemówią, mimo to nadymają się jako wielcy Niemcy.

G. Smólski.



Lwowskie znaki bibljoteczne.

(Ciąg dalszy).

— Z bibljoteki Stanisława Grochowskiego arcybiskupa lwowskiego († 1644) zachowała się w lwowskiej bibliotece uniwersyteckiej jedna księga z pięknym „super ex librisem“. Księgę tę darował arcybiskup Grochowski Jezuitom, poprzednio zaś należała ona do kogo innego. Świadczy o tem herb Bończa wytłoczony na tylnej okładce z literami N. G. i datą 1556. Według Niesieckiego byłby to Mikołaj Grochowski, kanonik poznański.

— Księgozbiór prywatny patrycjusza lwowskiego, rajcy i burmistrza Pawła Dominika Hepnera, posiadał amatorskie skórzane oprawy z „super ex librisem“ w formie wyciśniętego herbu, a raczej gmerku mieszczańskiego: koń biegnący, na którym stoi mąż z podniesioną w prawicy szablą. W otoku tarczy napis: „*Paulus Dominicus Hepner, doctor med. Cons. Leopol*“. Po bokach tarczy herbowej litery P. D. H. C. L. (Paulus Dominicus Hepner doctor, Consul Leopoliensis) jeszcze raz stwierdzały własność.

Osoba Hepnera znaną jest dobrze z aktów Archiwum miejskiego z początku XVII. stulecia. Wiele szczegółów podał o nim Władysław Łoziński w „Patrycjacie“. Pozostała po nim kamienica w rynku (l. 28 dziś p. Winklera) świadczy o wyższych jego artystycznych aspiracjach. O bibliotece Hepnera niema zresztą żadnych wiadomości, ponadto, że był on zbieraczem rękopisów i gromadził materjały do historji Lwowa.

— O istnieniu księgozbioru Andrzeja Próchnickiego, arcybiskupa lwowskiego († 1633) świadczy „super ex libris“ na okładce rękopisu zakładu Ossolińskich nr. 168, oraz na okładce kilku ksiąg z XVII. w. znajdujących się w bibljotece Archiwum miejskiego. Znakiem tej bibljoteki był tłoczony herb Korczak, nad którym mieści się mitra, krzyż i pastorał, oraz litery I. A. P. A. L. to jest „*Joannes Andreas Prochnicki Archiepiscopus Leopoliensis*“. Po bokach tarczy herbowej znajduje się 6 herbów, między którym, dają się rozróżnić herby Sas, Hołobok, Nieczuja, Pilawa i Leliwa.

— Księgozbiór Benedykta Stanisława Wilczka, lekarza i rajcy lwowskiego († 1696) posiadał ekslibris pisany ręką właściciela. Podobiznę jego przechowaną w zbiorach biblioteki Pawlikowskich, podajemy obok. Rodzina Wilczków przez cały siedmnasty wiek odgrywała bardzo wybitną rolę we Lwowie, a jej członkowie posiadali żyłkę amatorską do gromadzenia zwłaszcza obrazów. Małą galerję obrazów posiadał także Benedykt Wilczek. O jego bibljotece niema bliższych wiadomości.

30 9bris 1683
Sum M. Benedicti
Stanislai Wilczek
Med. Doct. Scabin.
Leopol. mp

Znak bibljoteczny B. L. Wilczka ze zbiorów Pawlikowskich.

— Posiadał także własną bibljotekę S. Wojenkowski, kanonik lwowski w XVII w., jak świadczy napis na rękopisie biblioteki Ossolińskich nr. 390: „*Ex bibliotheca S. Wojenkowski canonici Leopoliensis*“. O bibliotece tej nie posiadamy żadnych wiadomości. Stanisław Wojenkowski był proboszczem katedralnym lwowskim około 1685 r. i deputatem na Trybunał koronny w r. 1687.

— Ogólniejsze znaczenie ma, zwłaszcza dla historyków literatury, bibljoteka Józefa Bartłomieja Zimorowicza poety, burmistrza, historyka i obrońcy Lwowa w czasie najazdu tureckiego w r. 1672. Dla kierunku studjów, dla genezy wielu jego utworów znajomość ksiąg, które posiadał jeden z najlepszych pisarzy XVII wieku jest znakomitem wyjaśnieniem. Dla tego też wiadomości o bibljotece Zimorowicza zebrał skrzętnie niestrudzony jego biograf

K. J. Heck, a nawet krytycznie opracował zachowany jej inwentarz.*) Niestety inwentarz ten zawiera tylko część biblioteki, z której każda księga nosiła charakterystyczny, iście barokowy, napis z oznaczeniem *„me possidet“*... mnie posiada Józef Bartłomiej Zimorowicz. Zbierał on widocznie książki od młodego wieku, bo napis, którego podobiznę pomieszczamy, pochodzi z czasów, kiedy Zimorowicz był zwykłym palestrantem i daleko mu jeszcze było do późniejszej karjery. Jak wielką uwagę przykładał autor sielanek do swojej biblioteki, jak bardzo ukochał swoje księgi, świadczy dłuższy ustęp z jego testamentu z r. 1671, który godzien, aby go w całości przytoczyć:

„Z rzeczy moich ruchomych, najmilszy sprzęt mój, który jeden *regiam supellectilem* (królewski sprzęt) nazwał, to jest wszystkie księgi moje łacińskie jedynemu a kochanemu synowi memu Józefowi Zimorowiczowi daję, zapisuję, leguję, życząc mu od P. Boga błogosławieństwa i takiej chęci i ustawiczności do nauk, jako mnie niegodnemu do ostatniego skonania mego dał, żeby na chwałę bożą i ozdobę ojczyzny, na podparcie fortun swoich tych ksiąg długo zażywał, a jeśli by z jakiejkolwiek przyczyny nauk do końca nie dekontynuował, tedy ta bibljoteka na wszystkie potomki moje równym podziałem pójdzie. Tymczasem póki Józef syn mój nie dorośnie, małżonka moja pozostała wszystkie te księgi może da komu i przy świadkach wiarygodnych zregestrować i ten regestr do akt publicznych podać. A tymczasem wszystkie księgi moje do skrzyń pozamykawszy do wzrostu jego chować będzie, tylko z nich, które będą do nauk szkolnych należeć, wydawać mu będzie. Polskie me księgi, osobliwie do nabożeństwa należące, między moje córki mają być rozdane“.

Pisany ex-libris A. B. Zimorowicza ze zbiorów Pawlikowskich.

*) K. J. Heck: Materjały do biografji Józefa B. i Szymona Zimorowiczów. Kraków 1895.

Zachowany, urzędowy inwentarz tej bibljoteki jest, jak wyżej wspomniano bardzo niedokładny z tego powodu, jak przypuszcza dr. Heck, że spadkobiercy znaczną część książek ukryli przed delegatami urzędu. Wylicza on wszystkiego 12 rękopisów i 106 dzieł pisanych w języku łacińskim, greckim, polskim, francuskim i włoskim. Księgozbiór składał się z dzieł medycznych, historycznych, prawniczych z klasyków starożytnych. Dalej była tam reprezentowana heraldyka, teologja wraz z utworami treści budującej, astrologja a nawet wojskowość.

Dalsze losy biblioteki Zimorowicza są nieznane. Podobnie jak wszystkie księgozbiory prywatne, rozproszyła się ona, a dziś poszczególne księgi, które się tu i ówdzie znajdują świadczą o tym, który ich używał „na chwałę bożą, ozdobę ojczyzny i na podparcie fortun swoich“.

(C. d. n.) *Fr. Jaworski.*



BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).



(Ciąg dalszy).

Z drugiej strony dawne ateistyczne dwory z materjalistyczną szlachtą, przestraszone do szału gilotyną Robespiera i „Boginią Rozumem“[1]), rzuciły się w objęcia klerykalizmu, który nie roztrząsając, czy kto luter, czy syzmatyk, czy prawowierny katolik, przyjmował wszystkich w swoje apostolskie objęcia, tworząc teorję władzy z Bożej łaski, naukę rasowości i pożyczając od Woltera *l'absolutisme tempéré par la philosophie,* despotyzm, złagodzony przez filozofją — tylko teraz, jak w XVII. wieku, filozofa miał znowu zastąpić spowiednik. Ale u nas w Polsce, a tembardziej we Francji i w Anglji, obóz ten był tak znienawidzony, że mało kto śmiał się do niego przyznać — i nie dziw. Ówcześni despoci, Mikołaj, Metternich, Ferdynand neapolitański ciemiężyli jednakowo wysoko i nisko urodzonych, bo olśniewa ich demokratyczny cesarz, wielki Napoleon, ideał Mikołaja; szlacheckie przywileje, dla przywrócenia których obalono korsykanina, zupełnie usunięte zostały, i został się goły despotyzm, w razie potrzeby opierający

[1]) La déesse Raison, niedorzeczny wymysł ateistów Wielkiej Rewolucji; u nas przynajmniej trzebaby mu przyprawić wąsy.

się nawet na chłopach. Nie dziw, że pan Henryk Rzewuski, główny u nas przedstawiciel absolutyczno-klerykalnego kierunku, nie mógł nawet kupki zwolenników zebrać i został przez samą szlachtę wyklęty.

Był więc w umysłach porządny zamęt, pomimo ogólnie przyjętych przez większość liberalną zasad i dopiero daleko później miałem dotrzeć do przyczyn owego zamętu, który udaremnił ogólny ruch 1848 roku. Wyłożę już tutaj te przyczyny, chociaż ostrzegam, że nikt sobie z nich jasnej sprawy wówczas nie zdawał, tak samo, jak dzisiaj nikt nie chce zrozumieć, że niby postępowe teorje są właśnie źródłem teraźniejszych nadużyć wszechwładnego panowania, tak zwanego militaryzmu i kapitalizmu i ogólnie przyznanego prawa pięści.

Wielka francuska Rewolucja, która się prawie natychmiast przekształciła w wojskowy despotyzm, została głównie zwyciężoną przez Anglję[2]), przedstawicielkę obywatelskich przywilejów, konstytucji, tradycyj obyczajowych i religji objawionej, to jest wyższej nad wszystkie ludzkie uchwały. Święte przymierze, podburzając ludy Europy przeciw Napoleonowi, musiało się więc na chwilę odwoływać do tych samych zasad, które, nawiasem mówiąc, powinny być dla nas najsympatyczniejsze, bo się zgadzają najzupełniej z całą polską przeszłością; one nam zresztą dały konstytucję 1815 roku. Ale po kongresie wiedeńskim rzucono je natychmiast na stałym lądzie do kąta, oprócz Francji, i dlatego stały się one hasłem oszukanych europejskich narodów, nie wyłączając naszego. We Francji zaś, chociaż zapanowały one także przy nowym konstytucyjnym rządzie, nie mogły zupełnie wyrugować haseł rewolucyjnych, to jest niedorzecznej *souveraineté du peuple*, samowładzy ludu i powstałego z niej niby demokratycznego, Napoleońskiego absolutyzmu. Pierwsza to sprzeczność i to bardzo ważna; jam się właśnie wychował podczas najsilniejszego kultu Napoleona, bo w 1840 r. sprowadzono jego zwłoki do Paryża.

Angielscy pisarze, u których się wychowało liberalne pokolenie Europy po 1815 roku, byli bez wyjątku ludzie nader religijni, to jest, że przyznawali wyższe prawo niezależnie od ludzkich uchwał. Tak wierzył Walter Skott, tory, tak wierzył Byron, whig, chociaż się przeciw temu prawu buntował, tak wierzyli współcześni mnie Dickens i Thackeray. Ale skoro ta zasada dostała się do katolickich umysłów, uległa zupełnemu przekształceniu. Nie można być wiernym katolikiem, nie przyznając obok prawa Bożego samowładzy kościoła, prowadzącej do absolutyzmu papieskiego; więc zamiast zupełnej swobody wierzącego, byle zasadnicze prawo zostało nietknięte, musiano dojść do najzupełniejszej uległości doczesnym rozkazom władzy kościelnej; kto, jak Mickiewicz, chciał być zarazem katolikiem i powstańcem, stawał się natychmiast heretykiem; kto, jak inni, był logiczniejszym, poświęcał narodowość kościołowi albo kościół narodowości. Druga to sprzeczność, która doprowadziła katolickich i prawosławnych rewolucjonistów do zupełnego odrzucenia religji, bo była w ich umysłach nieodłącznie połączona z panowaniem księży. (C. d. n.)

[2]) W 1812 r. Napoleon miał za sobą większą część Europy.



JÓZEF JEDLICZ.

Przygody Jędrzkowe.

Mały Jędrek był jedynakiem.

Nieraz brał go stary ojciec na wóz i jechali do lasu. Stary zacinał biczem konięta, ssał sennie fajeczkę i zasypiał na wozie. Potem budził się nagle, pociągał z fajeczki i trzaskał z bicza, aż się szkapięta płoszyły.

Gdy jechali nad przepaścią, wóz zwalniał biegu. Mały Jędrek siedział w tyle i kołysał się w miarę szarpnięć wozu, czasem podskakiwali obaj, wóz i Jędrek, jak opętani, a Jędrek śmiał się głośno sam do siebie, choć mu serce biło ze strachu. Drzewa stały wtedy nieruchome w upale; za wozem wlokła się długa płachta kurzawy. W dole szumiał sennie potok. Zielone muszki latały koło głowy Jędrzka, podobne do pączków kwietnych, czasem mignęła ze świstem jaskółka, kreśląc po niebie czarne zakrętasy. Chwilami zabłąkał się na drogę żółty motyl. Wtedy Jędrek, zapatrzony w dalekie ugory, obzierał się dookoła i pytał ojca;

— Tatuśku, patrzcie ino... widzicie?

— Coześ ta zaś uwidzioł?

— Coz to hań na łęgu?

— Kanyz to?

— Hań...

— Dyć cozby takiego... jałowce!

— Wicie... ony chodzą!

Ojciec spozierał uważnie.

— Ka ony idą? — pytał znowu Jędrek.

— Głupiś — splunął stary, zacinał konięta i na chwilę tracił humor. Jędrek bał się już odzywać, dopóki nie wrócili do domu.

Wieczorami schodziły się prządki i opowiadały niestworzone rzeczy. Jędrek siedział skulony i oniemiały, patrząc na ruchy prządek. Cienie prządek wykonywały te same ruchy na jasnej ścianie. Na jego oczy padał zwolna mrok. W tym mroku widział, jak na dłoni, czworograniaste denka, płomienie latające, żółte strzygi o głowach kocich, djabły i różne widma. Gdy zasypiał, przychodził ku niemu djabeł, siadał na łóżku i patrzył weń uważnie. Djabeł był kudłaty, miał koźle rogi i fizjognomię krowy, która niedawno Jędrzka pobodła; ogona Jędrek nie widział, bo się nie śmiał ruszyć na łóżku i popatrzeć, ale był pewny, że ogon to odmienny od psiego. Kilka razy djabeł miał wyraz twarzy piegowatej córki sąsiada, którą wszyscy we wsi nazywali „brzydką Maryną“. Jędrek patrzył w postać djabelską i jej cień, rysujący się potwornie na ścianie; w uszach chichotały mu cudaczne słowa opowieści i, jakby pijany, zasypiał. Rzucał się potem w nocy po łóżku i krzyczał tak głośno, że cały dom się budził...

Nieraz, gdy jechali z miasta, wydawało mu się, że tuż przed nim, może trzy łokcie ponad gościńcem, unosi się w powietrzu kosz z indykami. Były takie same, jakie widywał w dziedzińcu plebanji: napuszone, z czerwonymi koralami i pstremi, ogromnemi piórami. Wyciągały ku niemu chwiejące się szyje, kiwały nań przyjaźnie głowami, przekręcały pociesznie dziuby, jakby mu chciały do oczu zaglądnąć. Ale chłopca zdejmował nagły lęk i wrzeszczał jak opętany.

— Co ci Jędruś? — pytała przerażona matka.

— Pulosy, mamo, pulosy! — wyjąkał, łkając.

— Jakie pulosy?

— Pulosy z plebanji, mamusiu, o... tu!...

Matka wiedziała już — i otulała go chustką, zasłaniając mu oczy. Ojciec brał go na ręce i tak jechali smutni z miasta. A chłopak długo wrzeszczał przerażony i wreszcie usypiał.

Te widzenia powtarzały się coraz częściej. Nieraz przy obiedzie zdało mu się, że go krowa bodzie, to znowu krzyczał, że dom się wali... Po takim wypadku mało już komu jadło smakowało.

Stary kumoter, który codzień przychodził do ojców Jędrzkowych i siadywał na ławie w kożuchu, pykając z fajeczki, mawiał często:

— On, widzicie moi kochani, mo wode na ocak. Z małości bocem iście taki wypodek. — I opowiadał nieraz całe popołudnie. Inni sąsiedzi twierdzili, że chłopak zdrów, jak ryba, a stary kumoter ma wodę w mózgu. Żona kumotra, najpobożniejsza w całej parafji, mówiła, że Jędrzka opętał djabeł. Ale rodzice Jędrzka nie bardzo chcieli w to wierzyć. Kiedy stary kumoter umarł, zaczęto do jego słów przywiązywać większą wagę i wszyscy uwierzyli, że mały ma wodę w głowie.

(D. n.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Adam Stodor: Ślubna obrączka. Stanisławów, 1907. Nakł. księgarni R. Jasielskiego. Gebethner i Wolff w Warszawie. — Autor opowiadań, zebranych pod powyższym tytułem, pisze bardzo dużo. I wydaje dużo. Niedawno wydał swój przekład „Ksiąg mądrości“ Verlaine'a, to znów oryginalny, już coś trzeci zbiór poezji p. t. „Con dolore“ — następnie szkic o Kasprowiczu itd. W przygotowaniu ma zaś „Złocistą górę“, poemat dramatyczny. Przeciw tej ruchliwości autorskiej nic by mieć nie można, gdyby utwory p. Stodora wyrażały niepospolitą indywidualność. P. Stodor jest niezaprzeczenie zdolnym poetą, nie usiłującym jednak wydobyć tego jednego, wyłącznego, własnego tonu, któryby go z pośród wielu również utalentowanych poetów wyróżniał. Tematy stare mają w sobie zawsze coś nowego. P. Stodor nie chce, czy nie może tego „czegoś“ wydobyć na jaw. Opowiada autor smutne historje z szarego życia — nie wnikając nigdy w ich wnętrze otchłanne. Dlatego — na skonstatowaniu tego faktu, recenzję należy skończyć. *Fel. Gw.*

Knut Hamsun: Niewolnicy miłości. Przekład Z. Niedźwieckiego. Lwów. Nakł. Księgarni powszechnej. Warszawa. Księgarnia Powszechna 1907. — Drobne, mieniące się cudami barw, obrazki. Pierwszy z nich: „Niewolnicy miłości“. P. Włodzimierz F. jest niewolnikiem „żółtej damy“ z cyrku. Niewolnicą p. Włodzimierza jest znów kelnerka z kawiarni, do której p. Włodzimierz chodził z „żółtą damą“, póki go nie odepchnęła od siebie. Odepchnęła go — a on mimo to idzie za nią. Niewolnik miłości. Kelnerka, choć ją wypędzono z kawiarni z powodu p. Włodzimierza, choć i on sam uznał postępki swe wobec niej za nikczemne — przecież... gdy znikł z jej oczu, uważa się za wdowę po nim. Na dnie ich dusz burzą się ciche, bezradne łzy. Piękni niewolnicy miłości. — Druga, nadzwyczajna historja: „Arcyfilut“ opowiada na cmentarzu autorowi o małej dziewczynce, którą przed x laty przyłapano na kradzieży kwiatów z grobu jej siostry i oddano w ręce policji, która jednak z tego nie zrobiła użytku. Dziewczynce przypominano później ten fakt wszędzie i zawsze, tak, że w końcu nie mogąc znosić licznych upokorzeń, na jakie ją lubiano wystawiać — „puściła się“... Właśnie (arcyfilut) spotkał ją dzisiaj. Całą noc z nią spędził. Gdyby byli dziewczyny ongi nie sprowadzili na policję, gdyby jej nie przypominali ciągle tej kradzieży — byłaby dziś porządną. Najlepiej fakt taki przemilczać. Arcyfilut odszedł — autor również. Dopiero w domu spostrzegł autor brak swego zegarka... Tak... ale najlepiej jest fakt taki przemilczać. — Pełne grozy jest opowiadanie trzecie p. t. „Głos życia“; niezrównanym zaś humorem odznacza się ostatnie „Wyprawa z prelekcją“. W tych drobnych nowelkach i opowiadaniach występują wszystkie zalety autora „Wiktorji“: niezrównana subtelność w traktowaniu tematu, znakomite obserwacje psychologiczne, rozum życiowy — to wszystko, ujęte w stylową formę, wzbudza prawdziwe zainteresowanie w czytelniku. Przekład p. Niedźwieckiegp — co do języka polskiego dobry. *Fel. Gw.*

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.